

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

10)

— Ależ oczywiście — pośpieszył z zapewnieniem ksiądz Pegrusse któremu udzieliły się również obawy obojga młodych. — Jest tu, niedaleko dom rodziców Marcina. To zacni i uczciwi ludzie... Tam będziesz nocę przepędzał, tu zaś, przyjmimy cię zawsze z otwartymi rękami.

— Oh! dziękuję, dziękuję — szepnął Armand silnie wzruszony, całując rękę starego księdza — Gościnność ta starczy mi za wszystko... Gdyby ksiądz proboszcz wiedział, ile przecierpeliśmy już z Martą...

— Pracować teraz będziemy wspólnymi siłami na wasze szczęście, mój synu i los wynagrodzi może ten czas ubiegły — odparł poważnie ksiądz Pegrusse. — Jakże głęboko żałuję, że pomimo woli, nie mogłem przez wszystkie te lata czuwać nad naszą Martą.

Po oddaniu jej do zakładu, kilka razy na rok dowadywałem się o nią troskliwie. Wiadomości odebrane były zawsze dla mnie pocieszające. Na razie zadawał mi się tem, bo zresztą, czyż mogłem wówczas Martę przypuścić do mojej tajemnicy, skoro dzieckiem była jeszcze.

Aż jednego dnia, po dłuższej niebytności w klasztorze, dowiedziałem się, że Marta zaadoptowana została przez znaną i bogatą panią. Przyszłość więc jej zapewniona została i wówczas to pomyślałem, że lepiej uczynię milcząc i nie niepokojąc jej zwierzeniami, które by mogły cię niepokoić i smutku rzucić na młodość jej rozkwitającą zaledwie. Zaufanie, które pokładałem w zacnej pani Vacellier nie zawiodło mnie — Nieprawdaż Mario.

— Oh! nie księżu proboszczu, do końca życia wspominać będę z miłością i wdzięcznością kochaną moją opiekunkę — odpowiedziała młoda dziewczyna z przejęciem. Ale księżu proboszczu, tak bym chciała usłyszeć coś o nim... o moim bracie dodając spoglądając nieśmiało na księdza Klemensa.

— Oh! jego życie popłynęło spokojnie i prosto choć wiele wycierpiał — ale i też wiele zasług sobie przyspożył.

— Oh! księżu proboszczu — przerwał wzruszony ksiądz Klemens.

— Nie, nie — pozwól mi mówić moje dziecko.

— Z początku niepokoił mnie bardzo stan jego. Była chwila, że zważyłem już nawet o jego życiu. Cudowi chyba zawdzięczać możemy, że nędzny twój, nadwreżony organizm, oparł się chorobie i silnej gorączce, która cię trawiła długie tygodnie. Zwalczyłeś jednak wszystko, ale kiedy poraz pierwszy spojrzawszy przytomnie, że zgrozą spostrzegłem, że wszelka pamięć zanikła w tobie... Musieliśmy razem z Małgorzatą poprosić uczynić cię mówić, chodzić, myśleć. Oh! tak, moje dziecko, śmiało mogę powiedzieć, że stałeś się prawdziwym, jedynym moim dzieckiem. W połowie stałeś się także własnością zacnego księdza Menard, przełożonego seminarium w Marsylii, który mi cię zabrał jak tylko nabrałeś trochę sił. Tam, w seminarium wykazałeś nadzwyczajne zdolności do nauk. Charakter twój prawy, energiczny i dumny, zadziwiał wszystkich. Ale, nieprawdaż Klemensie, że w owym czasie pragnąłeś zostać żołnierzem?

— Tak, przyznaję, było to moim marzeniem.

Niestety, dojść do tego nie mogło z powodu osłabienia, które pozostało w twoim ramieniu. Nie mogąc więc stać się żołnierzem, stał się księdzem. Życzyłem sobie, aby mnie w przyszłości zastąpił w tej cichej parafii — ale on wolał niebezpieczeństwa większego poświęcenia i abnegacji i oto udaje się do dalekich krajów walczyć za naukę Chrystusa.

— Nie wyjadę jednak, mój ojciec, póki...

— Póki żyć będę — dokończył z uśmiechem łagodnym ksiądz Pegrusse. — Tak, obiecałeś mi to... przeskoda niedługo usunięta zostanie.

— Oh! — zaprzeczył żywo ksiądz Klemens — potrzeba mi wielu lat starania i opieki, abym mógł spłacić ci, mój ojciec mój dług wdzięczności.

— A ja? — zawołała Marta — Czemże się kiedy odwdziżyć potrafię?

Mówiąc to młoda dziewczyna ukłękła przed stercem.

— Pobłogosław nas ojciec — wymówiła wzruszona — i żyj nam jeszcze długie lata.

A kiedy ze czcią przycisnęła do ust wycią-

gniętą nad jej głową rękę starego proboszcza, zerwała się szybko z kolan i zawołała wesoło:

— A teraz precz ze smutkiem! Chcę widzieć wokół siebie szczęśliwe i wesołe twarze. Bierzcie wszyscy przykład ze mnie! — i zaśmiała się tak serdecznie, że wszyscy obecni z zachwytem na nią spojrzeli.

— Oh! Mario! — szepnął Armand — jaka ty jesteś dobra i ładna! Będę cię musiał kochać do końca życia.

— Oto przyjemne słowa — nieprawdaż ojciec — zwróciła się Marta do starego księdza.

W tej chwili lekko zapukano do drzwi. Marta pobiegła otworzyć. W drzwiach stanął pan de Lognes. Nieprzyjemne wrażenie ogarnęło wszystkich, rzucając cię niepokojem na rozpromienione przed chwilą twarze.

Ale nie mniej silne wrażenie odbiło się na twarzy pana de Lognes.

Spojrzenie jego jak zahipnotyzowane, biegło niespokojnie, pytające od Marty do księdza Klemensa i coraz większe pomieszanie uwiadaczniło się w całej jego niesympatycznej postaci.

Trwało to dosyć długo... pan de Lognes pomimo wysiłków, nie mógł słowa wydobyć z zacisniętego wzruszeniem gardła... Pobladał silnie, jak gdyby miał zemdleć.

— Ah! Ksiądz nie jest sam — wyszeptał w końcu z trudem — proszę mi wybaczyć... powrócę... powrócę jeszcze... Chciałem się tylko dowiedzieć... czy ksiądz odnalazł... zgubę.

— Niestety... nie — odpowiedział ksiądz Klemens.

Zauważył, że spojrzenie pana de Lognes nie mogło się oderwać od twarzy Marty.

I Marta również czyma badała nowoprzybyłego. Ale jakiś nagły, instynktowny antagonizm błyszczał w tych spojrzeniach, uparcie zwróconych na siebie.

Potęga jednak wzroku młodej dziewczyny, która tak niedawno jeszcze, potrafiła ujarzmić niebezpieczne instynkta dzikich zwierząt — okazała się i teraz silniejsza.

Wkrótce powieki pana de Lognes trzepotać zaczęły, żyły na skroniach nabrzmiały silnie, oddech stawał się ciężki, świszczący.

W pewnej chwili, nagłym ruchem wyciągnął rękę przed siebie, jak gdyby odepchnąć chciał ciężar jakiś, walący się na niego i bez słowa, prawie bez ukłonu, odwrócił się szybko, ku wyjściu.

— To pan de Lognes? — przerwał milczenie Armand zdziwionym głosem.

— Tak — odpowiedział ksiądz Pegrusse.

— Administrator zamku Roche-grise?

— Tak.

— To ten, którego ksiądz proboszcz widział nad rzeką, w ową noc znalezienia Marty i Klemensa?

— Tak. To ten, z którym Klemens rozmawiał przy łożu umierającego markiza.

— Złowróżbny płak nieszczęścia — wymówił młody człowiek.

— Prędzej dzikie zwierzę — wyszeptała Marta, podchodząc do narzeczonego. — Spojrzenie jego jest dzikie i okrutne.

XIII.

Hrabia de Valdeuse przybył na czas na uroczysty obchód pogrzebowy swojego teścia.

Kiedy nareszcie ostatni goście rozjechali się, hrabia znudzony zaczął się zastanawiać, co mu dalej wypada uczynić. Perspektywa pozostania kilku dni przy boku żony, nie uśmiechała mu się bardzo.

Zamyślenie jego przerwał służący, przynoszący codziennie korespondencję.

— Ah! — zachnął się niecierpliwie hrabia. — Kondolencje funtowe! Że też istnieją jeszcze ludzie, którzy uważają za obowiązek oblewać łzami grób starego markiza!

Jednakże, choć zniechęcony i zdenerwowany, zabrał się do przeglądania listów, usiadłszy w gabinecie swoim przed biurkiem, w wygodnym, głębokim fotelu.

Upłynęło blisko pół godziny. Pan de Valdeuse coraz niecierpliwszą ręką przerzucał stosy telegramów i listów, zredagowanych prawie identycznie. Na pięknej jego, rasowej twarzy, zaznaczył się jeszcze silniej wyraz zmęczenia i nudy. Ale nagle twarz jego ożywiła się, z oczu irysnął gorący blask. Rozwarły telegram zadrżał w jego ręce. Było to to, na co z niepokojem oczekiwał.

Telegram brzmiał lakonicznie:

— „Jesteśmy w Besancon — R. H.“.

Lord Halsey dotrzymał więc przyrzeczenia. Brwi pana de Valdeuse ściągnęły się nerwowo.

— Ah! gdybym był wolnym! — zawołał namiętnie, rzucając telegram na biurko.

Ale po chwili już zdążył się opanować i rozumować zaczął już spokojniej.

— No i cóż zresztą bym uczynił, będąc wolnym? Nie mogłem przecież przyłączyć się do defektywów Randolfa, aby śledzić tę dziewczynę. Muszę być cierpliwym i czekać. — Czekać? tu, w Roche-grise? to niemożliwe! Musiałbym oszaleć! A więc najlepiej uczynię, jadąc do Paryża! Tam przeczekać łatwiej i zagłuszę ten wewnętrzny niepokój. Tak! rzecz postanowiona. Dziś jeszcze wyjeżdżam.

Zadowolony z siebie pan de Valdeuse wielkimi krokami zaczął chodzić po gabinecie, snując najróżnorodniejsze plany na przyszłość.

Zapukano do drzwi.

— Któż tam u dyabła! — zdziwił się nie-mile. — Proszę wejść!

Drzwi otworzyły się szybko i ku zdumieniu hrabiego do gabinetu weszła jego żona.

Z uprzejmym uśmiechem pośpieszył ku niej.

— Jakto? to ty, moja droga!

— Chcę cię prosić o chwilę rozmowy.

— Tutaj? ponieważ jest przesycone zapachem papierosów.

— Oh! nic nie szkodzi. Bardzo lubię taką atmosferę — uśmiechnęła się wdzięcznie.

Hrabina Julia była bardzo piękną kobietą. Olbrzymie złote włosy tworzyły wspaniałą oprawę dla regularnych, rzeźbionych jej rysów. Nieskazitelne linie ciała, wykutego jak gdyby z marmuru, uwydatniały jeszcze wytworny, a prosty krój domowej sukni.

Hrabina Julia miała obecnie lat trzydzieści cztery i była w pełnym rozkwicie swojej doskonałej urody.

Ale już w drugim roku po ślubie, fatalna, nieprzewidziana rozłąka i oziębienie stosunków zaznaczyły się pomiędzy młodem małżeństwem. Charaktery ich, zasadniczo różne, nie mogły wytworzyć potrzebnej do współżycia harmonii. Pozostając pod jednym dachem, byli sobie zupełnie obcy i obojętni, chociaż w świetle pokazywali się zawsze razem i nikt z ich zachowania nie odgadłby ich wzajemnego, przykrego stosunku. W tych więc warunkach zjawienie się hrabiny w gabinecie męża było rzeczą nadzwyczajną.

— Ho! ho! — szepnął do siebie pan de Valdeuse. — Co to ma znaczyć! Żeby tylko znowu nie jaka nowa nieprzyjemność!

Ucałował jednak uprzejmie rękę żony i spojrzawszy na nią, nie mógł się powstrzymać od rzucenia jej, tym razem szczerego komplementu.

— Jesteś wyjątkowo dziś uroczą, Julio.

Bo wytrawny wzrok hrabiego umiał i w żonie swojej dostrzec doskonałość jej pięknych rysów i uroku.

Młoda kobieta zbyła komplement uśmiechem i siadając na podsunętym jej fotelu, wymówiła swobodnym, spokojnym głosem:

Obecność moja tutaj zadziwia cię, nieprawdaż... po tylu latach nieporozumienia... ale zastanawiałam się dosyć długo nad naszym wzajemnym stosunkiem i dzisiaj nie jestem już, dzięki Bogu, tą dawną, głupią, upartą dziewczyną.

— Ależ hrabino, nie pozwolę, abyś się w tem świetle ukazywała przedemną — przerwał z grzecznym uśmiechem pan de Valdeuse.

— Pozwól, mój kochany, nie bawmy się w czcze słowa, a przedewszystkiem brońmy się przed ostatecznością. Pozostawmy w pośrodku... dobrze?

— Ależ i owszem... tylko nie pojmuję zupełnie słów twoich...

— Zaraz je zrozumiesz. Zdaje mi się, że te siedmnaście lat, które przeżyliśmy obok siebie, dostatecznie wpłynęły na wyłupienie z charakterów naszych młodzieńczych iluzji i naiwności. Dziś jesteśmy starsi, doświadczeni...

— Ah! Boże! Siedmnaście lat — czy być może! — zawołał ze zdumieniem hrabia.

— Tak, tak, czas przypomnieć sobie, że już młodzi nie jesteśmy.

— Oh! Julio! czy to konieczne? Dlaczego jesteś tak bezwzględna?

(Ciąg dalszy nastąpi).